

LISTY DO REDAKCJI

Rznięcie nożem po omacku, czyli polemika historyczna à la Bogdan Musiał

Do Redakcji „Dziejów Najnowszych”

W tegorocznym numerze 2 „Dziejów Najnowszych” zamieszczony został obszerny tekst Bogdana Musiała poświęcony mojej książce *Judenjagd*. Mówiąc krótko, B. Musiał mojej książki bardzo nie lubi. Mało tego, w całej książce nic mu się nie podoba i daje temu wyraz w obszernym, napisanym z wyraźną pasją artykule, który redakcja „Dziejów Najnowszych” uznała za stosowne zamieścić w dziale „Artykuły recenzyjne”. Występowanie w obronie własnej książki może wydawać się czymś niestosownym, lecz biorąc pod uwagę „korporacyjną” niszczość pisma oraz wagę omawianych tematów, postanowiłem wziąć się do pracy. Na samym wstępie zaznaczam, że jest to moje ostatnie zdanie w wymianie z Musiałem, gdyż w obliczu nieudolności, przeinaczeń, wojującej ignorancji, wyrwanych z kontekstu słów i zwrotów zachodzi pytanie o sens jakiegokolwiek próby dyskusji. Tak się jednak składa, że student historii biorący do ręki numer „Dziejów Najnowszych” ma prawo uważać, że tak właśnie powinno się pisać recenzje, że tekst Musiała publikowany w tym piśmie oddaje — pod względem warsztatowym — stan oczekiwań korporacji zawodowej historyków. Chciałbym czym prędzej rozwiązać tego rodzaju nieuzasadnione przekonanie.

Zacznijmy więc od prostej konstatacji: recenzja nie jest tekstem oryginalnym, lecz „pówtórką” z dwóch obszernych ataków, jakie Musiał przypuścił na mnie na łamach dziennika „Rzeczpospolita” w marcu tego roku. Na pierwszy z jego ataków odpowiedziałem — po drugim zdecydowałem się dać spokój, gdyż polemika toczona na tym poziomie po prostu mi uwłacza. Nie dziwi mnie to, że Musiał, najwyraźniej hołdując marksistowskiej maksymie, że ilość przechodzi w jakość, zdecydował się opublikować powtórnie swoje wywody, tym razem w piśmie fachowym. Niestety, tendencyjny atak, choćby opublikowany po raz drugi, trzeci czy dwunasty, pozostaje nadal niczym więcej niż tendencyjnym atakiem. Powtarzam — w „recenzji” Musiała nie ma nowych myśli — całość jest żywcem — włącznie z tytułem — wzięta z „Rzeczpospolitej”. Artykuł w „RP” zatytułowany był: *Zbrodnicza perfidia czy umiejętne działanie*. W „Dziejach Najnowszych” B. Musiał ogłosił tekst pt. *Umiejętne działanie czy zbrodnicza perfidia*. Mamy tu do czynienia ze zwykłym autoplagiatem, gdyż czytelnik nie jest poinformowany, że wersja „light” ukazała się wcześniej w innym piśmie. Jedyna

zmiana to dodanie pewnej liczby przypisów, rozbudowanie kilku wątków oraz wprowadzenie kosmetycznych przeróbek stylistycznych. Co już zupełnie niewiarygodne, w „recenzji” Musiał wielokrotnie odwołuje się do mojej gazetowej odpowiedzi na jego wcześniejsze ataki — „recenzja” przestaje więc być recenzją z książki, a staje się dalszym ciągiem wymiany zainicjowanej na łamach „Rzeczpospolitej”. Pozwalam sobie wobec tego też na kilkakrotne odwołanie się do mojej repliki zamieszczonej wówczas w „RP”.

Autor nie zna stanu badań

Musiał, o czym sam wspomina kilkakrotnie, pochodzi z powiatu Dąbrowa Tarnowska i — wobec tego — czuje się szczególnie powołany do obrony swoiście rozumianego honoru swojej społeczności. Zacznijmy od stryja recenzenta, Adama Musiała, którego praca B. Musiał się podpira, oskarżając mnie o zlekceważenie tej fundamentalnej ponoć rozprawy. Jak już wcześniej pisałem — i co raz jeszcze powtórzę — praca stryja B. Musiała jest chaotyczną zbitką niedatowanych, pozbawionych aparatu naukowego i sporządzonych bez żadnej metody wywiadów, wycinków gazetowych, listów do redakcji pism codziennych, przedruków z nieznanymi i nieobjaśnionymi źródłami. Innymi słowy, jest to dedykowany Jerzemu Robertowi Nowakowi groch z kapustą, któremu przyświeca przekonanie, że różni niechętni Polsce i Polakom Żydzi, powodowani antypolonizmem, szkodzili dobremu imieniu narodu polskiego. I że jakoś trzeba temu zaradzić. Najlepiej będzie zresztą oddać głos samemu stryjowi, gdyż mały fragment zaczerpnięty ze wstępu w sposób dobitny świadczy o poziomie autora: „Żydzi — ci agresywni, szowiniści, a nie Żydzi uczciwi — nie mogą znieść widoku krzyża na miejscu Kiessgrube (dawna żwirownia w KL Auschwitz I), a przecież to właśnie miejsce jest uświęcone krwią rozstrzeliwanych więźniów Polaków”. „Nacjonalistycznie usposobieni Żydzi pragną w całości zawłaszczyć tereny Muzeum w Oświęcimiu. Wiele bolesnych faktów — jak niefortunny nieraz udział Żydów w rządzeniu Polską powojenną, ich rola w aferach III RP i ujemny wpływ na sytuację finansową państwa i społeczeństwa i na kulturę, podległą coraz bardziej amerykanizacji, stopień wpływów, gdy np. nawet przy tzw. okrągłym stole zasiadło tylko 10 Polaków — można tu zaznaczyć jedynie z przykrością i z poczuciem niesprawiedliwości i krzywdy”. Celem stryja Musiała jest — jak się okazuje — walka z antypolskimi kliszami powielanymi przez „agresywnych Żydów” i w ogóle przez „żydowskich szowinistów”. Widać tu wyraźnie, jakie to „naukowe” badania stawia B. Musiał czytelnikom „Dziejów Najnowszych” za wzór. Zaznaczam, że wszystko to z parostronicowego wstępu do „naukowej” rozprawy, której nieuwzględnienie świadczy według B. Musiała o mojej niezajomości źródeł oraz „stanu badań”. Jeżeli tego rodzaju antysemityczne bzdury stanowią dla Musiała punkt wyjścia do studiowania danej tematyki, jeżeli pracy, która wychodzi z takich przesłanek, Musiał przypisuje podstawowe znaczenie dla zrozumienia tematyki „polowania na Żydów”, to dalsza wymiana zdań rzeczywiście nie ma sensu. W książce dość uważnie definiuję podstawę źródłową mojej pracy i dla każdego czytelnika jest jasne, dlaczego praca stryja Musiała znalazła się poza kręgiem mojego zainteresowania. To, że B. Musiał z uporem godnym lepszej sprawy broni owoców pracy swojego stryja A. Musiała, jest zrozumiałe, ale na pewno z naukową recenzją pióra rzetelnego historyka nie ma to nic wspólnego.

Zaraz potem pojawia się zarzut, że w książce nie uwzględniłem materiałów innych niż materiały procesowe oraz relacje ocalałych. Musiał mija się z prawdą — lista wykorzystanych w pracy archiwów, zespołów archiwalnych, pamiętników, tytułów prasowych, itp. jest długa i zawiera również materiały ze wspomnianego przez Musiała archiwum w Tarnowie (choć rzeczywiście nie tę „tekę”, o której Musiał wspomina). Zarzut, że autor książki nie

wykorzystał wszystkich dostępnych materiałów archiwalnych, jest równie śmieszny, jak demagogiczny. Rzecz jasna, najprostszym sposobem zdezwuowania niewygodnej lub nielubianej pracy jest wytknięcie „opustek” archiwalnych. Jest rzeczą oczywistą, że każdy historyk–dwudziestowiecznik dokonuje selekcji materiałów i pracuje w oparciu o pewien wybór dostępnej dokumentacji. Jeżeli chodzi o zarzut, że nie wykorzystałem materiałów dotyczących podziemia, to odpowiem krótko — w zasobach archiwalnych nie znalazłem śladów, które wskazywałyby na udział miejscowej AK czy też BCh w mordowaniu Żydów. Nieliczne wzmianki złożone na ten temat w powojennych zeznaniach uznałem za niepotwierdzone, mało wiarygodne i nie warte cytowania. Jeżeli w pewnej grupie źródeł nie znajdujemy interesujących nas informacji, to ich, siłą rzeczy, nie cytujemy. Wyrzucą mi też Musiała brak odniesień do jego własnej pracy, poświęconej niemieckiej administracji cywilnej oraz eksterminacji Żydów w dystrykcie lubelskim. Pracę Musiała pominąłem, gdyż wnosi niewiele nowego do interesującej mnie tematyki. Musiała, podobnie jak sporą grupę piszących w tym samym duchu niemieckich badaczy, interesuje przede wszystkim administracja niemiecka oraz coś, co można nazwać „pięknem procesów decyzyjnych”. Z pracy Musiała możemy się dowiedzieć niejednego o sporach kompetencyjnych między różnymi „Amtami”, ale o tym, co się działo wówczas z mordowanymi Żydami, Musiała ma niewiele do powiedzenia. Zamiast Musiała cytuję obficie Christophera Browninga (amerykańskiego historyka dobrze znanego polskim czytelnikom), który o „polowaniu na Żydów” pisze bez porównania lepiej i ciekawiej.

Autor nie umie (dość dobrze) po niemiecku

Kolejny z zarzutów Musiała dotyczy mojej rzekomej nieznamości języka niemieckiego. Ciekawe, że B. Musiała w całej książce znajduje jedno (!) błędnie przetłumaczone sformułowanie, co wystarcza mu, żeby podać w wątpliwość lingwistyczne kompetencje historyka, w którego dorobku znajdują się trzy monografie historyczne oparte na źródłach niemieckich. Chodzi mianowicie o błędnie przetłumaczony zwrot „Beutegermanen”. Według Musiała terminem tym określano wyłącznie folksdojczy. Píše Musiała: „przez taki szkolny błąd Grabowski pomniejsza niemiecką odpowiedzialność za Zagładę, czyniąc Volksdeutschów członkami «formacji ze wschodu», czyli uznając ich za nie–Niemców. Niby mała pomyłka, ale niesie ze sobą duże konsekwencje dla narracji Autora *Judenjagd*”. Nieprawda, nie niesie to żadnych konsekwencji dla Autora, lecz niesie pewne konsekwencje dla Recenzenta, gdyż najgorzej wypada ktoś, kto sztydzi, a nie wie. Otóż termin „Beutegermanen” oznacza nie tylko folksdojczy, lecz również określa „członków obcoplemiennych formacji ze wschodu”, głównie wschodnich ochotników do SS — właśnie tak, jak to opisują w książce, i tak, jak to widzieli świadkowie zagłady tarnowskich Żydów! Musiała odsyłam do literatury historycznej, a czytelnicy „Dziejów Najnowszych” mogą się o tym łatwo przekonać, choćby zerkając do niemieckiej Wikipedii. Trzeba doprawdy maksimum złej woli, żeby podać w wątpliwość na tej podstawie czyjeś kwalifikacje.

Baudienst

B. Musiała odsądza mnie od czci i wiary za imputowanie junakom z Baudienstu okrucieństw wobec Żydów. Ilustrując ten problem, B. Musiała wspomina bolesne doświadczenia swojego sąsiada, który był junakiem w Baudienstcie. Píše Musiała o okrutnym traktowaniu junaków, o torturach i o bestialstwie niemieckich przełożonych. Nie mam jednak zupełnie pojęcia, jaki to ma związek z tym, o czym piszę. Przecież nigdzie nie twierdzę, że *Baudienst*

był dla ochotników. Dość dokładnie opisuję sam proces wcielania junaków i towarzyszący temu przymus. W pewnym miejscu B. Musiał posuwa się dalej, pisząc: „równocześnie [Grabowski] robi z polskich ofiar współników w zbrodniach na Żydach”. Owszem, piszę obszernie (choć zdecydowałem się nie cytować w książce najbardziej dramatycznych relacji) o tym, jak to część junaków z Baudienstu (nigdzie nie piszę, że wszyscy junacy) włączyła się ochoczo w proces wymordowywania Żydów. Niektórzy z nich, ubiegając Niemców, rzucali się do rabowania żydowskich mieszkań, inni wyciągali Żydów z kryjówek, a jeszcze inni „mordowali Żydów za pomocą tępych narzędzi”. Jeszcze inni mordowali ich za pomocą narzędzi ostrych — np. za pomocą siekiery. Nie były to czyny ani wymagane, ani zalecane, ani wymuszane przez Niemców, nie był to wynik niemieckiego terroru i przymusu — co do tego żydowscy świadkowie są zgodni. Była to w dużej mierze inicjatywa własna junaków, którzy sami w ten sposób włączyli się w „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej”. Postawa członków Baudienstu w dystrykcie krakowskim znalazła odbicie również na łamach prasy konspiracyjnej i w dziennikach pisanych przez Polaków — sprawa ta jest dość dobrze rozpoznana. Wracając do początkowej krytyki — owszem, stanowczo stwierdzam, że część polskich junaków z Baudienstu jest współodpowiedzialna za wymordowanie tarnowskich Żydów.

Za mało ocalonych

B. Musiał zarzuca mi zaniżanie liczby Żydów uratowanych przez Polaków na terenie badanego powiatu... Wyjdę od tego, że książka *Judenjagd* ma też podtytuł: *Polowanie na Żydów*. Nie chodzi tu więc o „ratowanie Żydów”, któremu poświęcone są niezwykle liczne prace IPN, w którym pracuje Musiał. Ale mniejsza z tym — zacytuję fragment z książki, w którym omawiam tabelkę z nazwiskami ocalonych Żydów: „jak się już wcześniej zastrzegalem, tabela z całą pewnością nie zamyka listy Żydów ocalonych na terenie powiatu Dąbrowa Tarnowska, lecz jedynie wylicza tych, których losy zostały utrwalone w dostępnej nam dokumentacji archiwalnej. Zarówno liczba ofiar, jak i liczba ocalonych jest z całą pewnością o wiele większa od ujętej w naszym wyliczeniu. Nie zmienia to jednak niczego w samej wymowie przytoczonych danych”. „Według ocen optymistycznych, podkreślających powszechność «odruczeń pomocowych» w polskim społeczeństwie, mowa jest o 100–150 ludziach. W myśl bardziej ostrożnych szacunków mówić można jedynie o 50–60 ocalonych, ukrytych w ponad 30 kryjówkach. Z Centralnej Bazy Danych sporządzonej przez ŻIH na podstawie danych zebranych zaraz po wojnę wynika, że wojnę przeżyło 60 Żydów z Dąbrowy i okolic. Nie sądzę, żeby można było dziś jednoznacznie zaakceptować bądź odrzucić którykolwiek z tych szacunków (margines błędu przy fragmentarycznej podstawie źródłowej jest zbyt duży), ale zgromadzony materiał pozwoli na pewne istotne uściślenia”. Ot i wszystko — wyraźnie zastrzegam się, że liczba uratowanych jest większa niż ta ujęta w tabelce. Dane z tabelki dotyczą uratowanych, których losy mogą potwierdzić na podstawie dokumentacji sądowej oraz relacji żydowskich. Czy B. Musiał ma trudności ze zrozumieniem języka polskiego?

„Na dobrą wiarę”

Musiał zarzuca mi, że nie zachowuję „rezerwy wobec zeznań żydowskich ofiar”. Dalej czytamy: „Grabowski podkreślił: «Jeżeli chodzi o relacje żydowskie, to rzeczywiście skłonny jestem przyjmować je na dobrą wiarę»”. I tu Musiał podaje przypis do mojej polemiki z „Rzeczpospolitej”. Czytając ten podany przez Musiała cytat, wydawać się może, że bezkry-

tycznie i bezzasadnie przyjmując zeznania żydowskie „na dobrą wiarę”. Popatrzmy jednak na dalszy ciąg tego samego cytatu, którego Musiał już jednak nie przytacza. Pisałem wówczas: „Jeżeli chodzi o relacje żydowskie, to rzeczywiście, skłonny jestem przyjmować je «na dobrą wiarę». Nie ma to jednak nic wspólnego z rasowym profilem ich autorów, a wszystko — z okolicznościami ich powstania. Relacje żydowskie (a mamy ich ponad 7000 w zespołach ŻIH-u) powstały w latach 1945–1947. Są to rozpaczliwe głosy ludzi, którzy uszli Zagładzie i chcieli opowiedzieć o tym, co ich spotkało. Są to głosy ludzi, którzy wiedzieli, że dotknęła ich tragedia bez równej w historii, którzy wiedzieli, że zostali ostatnimi członkami wymordowanego narodu polskich Żydów. I że na nich spoczywa obowiązek pamięci. Nie były to akta dochodzeniowe, ani przesłuchania prokuratorskie, ani memuary spisane później, a służące gloryfikacji własnej osoby. Te wczesne relacje żydowskie, to zupełnie wyjątkowe dokumenty, których wartość ograniczona jest jedynie ułomnością ludzkiej pamięci. Tak więc nie rasa, doktorze Musiał, nie rasa, ale okoliczności i cel powstania przesądają o wadze dokumentu”. Widać tu wyraźnie, w jaki sposób badacz z IPN-u wyobraża sobie „polemiczne cytowanie”.

Zaraz potem Musiał zarzuca mi przyjmowanie „na dobrą wiarę” zeznań niemieckich urzędników. Cytuję Musiała: „na stronie 47 *Judenjagd* Grabowski pisze: «dr Kipke (Kreishauptmann w Tarnowie) wydał wszystkim niemieckim pracownikom cywilnym stanowczy zakaz zbliżania się do getta i silnie odradzał niepotrzebne wypadki na miasto”. Według Musiała powyższe zdanie jest kolejnym dowodem na moje bezkrytyczne podejście do świadectw niemieckich oprawców. Co jest, u licha, przecież nawet Musiał powinien być w stanie zrozumieć, że jeżeli taki zakaz został wydany (a został), to zacytowanie wypowiedzi jednego z Niemców w niczym nie usprawiedliwia innego rodzaju działań niemieckich biurokratów. Po prostu jest to konstatacja pewnego faktu. O co więc chodzi? Dlaczego ten cytat ma świadczyć o moim rzekomym „bezkrytycznym podejściu do zeznań Niemców”? Szkoda peiperu i putramentu, jak pisał Tuwim...

Na wsi panował strach. Chłopi wydawali Żydów, bo bali się represji niemieckich

Z tym zarzutem wystąpił już Musiał w swojej gazetowej „recenzji” z *Judenjagdu*. Odpowiedziałem mu wówczas dość wyczerpująco, ale, jak się okazuje, był to wysiłek stracony, gdyż Musiał albo zrozumieć nie chce, albo nie jest w stanie. Pozwolę sobie wpięty przytoczyć fragment mojej ówczesnej odpowiedzi na stawiane mi zarzuty: „przypuśćmy na chwilę, że Musiał ma rację, że na wsi panowała psychoza strachu, a chłopi, przerażeni surowością grożących im kar, z tego właśnie względu mordowali Żydów, bądź też oddawali ich w ręce niemieckie. Schemat był dość prosty — członkowie wiejskich wart nocnych, uzbrojeni w co popadnie, zazwyczaj w szpadle, drągi, widły, niekiedy w dostarczony przez Niemców karabin, łapali ukrywających się we wiosce Żydów. Od czasu do czasu organizowano oblawy, żeby wyszukać Żydów ukrywających się w pobliskich laskach. Następnie złapanych bito (po to choćby żeby wymusić informacje o legendarnym żydowskim złocie), czasem gwałcono i torturowano, a następnie odwożono na żandarmerię. Czy rzeczywiście jednak zwykły strach przed niemieckimi karami jest najlepszym wytłumaczeniem tego rodzaju postępowania? Trudno mi jakoś wyobrazić sobie scenę, w której miejscowi chłopi, złapawszy dziewczynę z Armii Krajowej z obwodu «Drewniaki» (tak właśnie nazywał się dąbrowski okręg AK), gwałcą ją, a potem wloką na powrozie na najbliższy posterunek niemieckiej żandarmerii, na śmierć. Czy Państwo są w stanie sobie taką scenę wyobrazić? Nie? Ja też nie. A przecież tolerowanie obecności zakonspirowanego AK-owca pociągało za sobą dokładnie taką samą karę śmierci, jak ukrywanie Żyda. Czyli nie chodziło tu o sam strach, jak chciałby Musiał.

Tu chodziło o strach bardzo celnie ukierunkowany — bo o ile «zwykłe» konspirowanie, pomimo że ryzykowne, cieszyło się zrozumieniem i wsparciem wspólnoty, o tyle na ukrywanie Żydów po prostu nie było społecznego przyzwolenia. Stąd też bardzo częste odmowy pomocy — o których Musiał słyszał od swoich kuzynów i krewnych — są dla mnie problemem drugorzędym. Odmowę pomocy, zatraskiwanie drzwi przez żydowskimi rozbitkami, traktuję jako postawy w sumie neutralne. Zajmuję się raczej tymi ludźmi, którzy w sposób bardziej aktywny (choć często nie do końca uświadomiony) włączyli się w niemiecki plan wyniszczenia Żydów”.

Co z mojej odpowiedzi Musiał rozumiał? Niewiele. W „Dziejach Najnowszych” czytamy, jakby nigdy nic: „ci sami osobnicy napadali, rabowali i zabijali również polskich mieszkańców. Przecież bandytyzm kwitł w czasie okupacji, a jego ofiarami byli wszyscy, bez względu na pochodzenie”. Oczywiście, że bandytyzm kwitł w czasie okupacji, i oczywiście, że bandyci mordowali tak Żydów, jak i Polaków. Wspominam o tym zresztą wielokrotnie w *Judenjagd*. Natomiast tym, co rzeczywiście różniło zwykły, ponad rasowy, okupacyjny bandytyzm od „polowań na Żydów”, był właśnie profil społeczny morderców, „tropicieli”, delatorów i gwałcicieli. W odróżnieniu od „zwykłych” bandytów ciemniejszy Żydów w ogromnej większości NIE byli zawodowymi bandytami. Na tym polega fragment tej rozpaczliwej, wojennej, prawdy — ciemieniem Żydów zajęli się ludzie bez żadnych „sądowych” zaszłości, normalni, przeciętni gospodarze. Czy to doprawdy jest takie trudne do pojęcia? O tym, dlaczego tak się stało, piszę obszerniej w książce.

Nieznajomość miejscowej gwary

Nieco dalej, poniesiony polemicznym zapałem Musiał pisze: „niektóre ustalenia Jana Grabowskiego są niemal kuriozalne i świadczą o jego nieznajomości specyfiki opisywanego terenu, jego mieszkańców i czasu. Twierdzi on np. iż polscy świadkowie niemieckich bestialstw zaniechali stosowania w stosunku do Żydów pojęcia «mordowania Żydów», a zaczęli używać bardziej bezosobowego określenia «strzelania do Żydów»”. Musiał mija się z prawdą, gdyż piszę wyraźnie (s. 59): „To mniej więcej wtedy świadkowie niemieckich bestialstw przestali mówić o «mordowaniu» Żydów, a zaczęli używać bardziej bezosobowego określenia «strzelanie Żydów»: «kiedy to strzelano Żydów w Radgoszczy», «nastąpiło strzelanie Żydów w Luszowicach» itp. Rzecz symptomatyczna: «strzelano» wyłącznie Żydów — w stosunku do mordów na ludności polskiej świadkowie używali innych czasowników”. Nie piszę więc o „strzelaniu do Żydów”, lecz o „strzelaniu Żydów” — a to jednak pewna różnica. Co więcej, zaraz potem Musiał twierdzi, że sam słyszał („na własne uszy”), jak to miejscowi ludzie, jego sąsiedzi, również używali pojęcia „strzelanie” w odniesieniu do mordów na Polakach. Naprawdę jest bez znaczenia, co też Musiał słyszał „na własne uszy” kilkadziesiąt lat po opisywanych wydarzeniach. Po pierwsze, piszę wyraźnie o sformułowaniu „strzelać Żydów”. Po drugie — korzystam z zebranych „na gorąco” zeznań z lat 1945–1950. A wszystko to Musiał kwituje słowami: „nie wiadomo jednak, na jakiej podstawie Grabowski dokonał tych błyskotliwych, zgoła psychoanalitycznych ustaleń”. Czy Musiał w ogóle wie, o czym pisze? Jaka znów psychoanaliza?!

Propaganda i antychłopskie uprzedzenia

W „recenzji” Musiała niejednokrotnie pojawia się oskarżenie o „pomniejszanie winy Niemców” za Zagładę Żydów. Jest to zarzut absurdalny, gdyż dla Musiała każda próba wska-

zania na obecność Polaków wśród oprawców Żydów wywołuje natychmiast tego rodzaju reakcję. A to, że jakiś segment polskiego społeczeństwa wziął aktywny udział w polowaniu na Żydów, nie ulega już dzisiaj najmniejszej wątpliwości. Co w niczym nie umniejsza niemieckiej winy za Zagładę. Mój „krytyk” z uporem powraca też do sprawy propagandy. Według Musiała nie dość miejsca poświęcam wojennej hitlerowskiej propagandzie skierowanej przeciwko Żydom. W książce wspominam o niemieckich akcjach propagandowych, o wędrownych teatrach, o plakatach i o gazetach ściennych, a czytelników chcących wiedzieć więcej na ten temat odsyłam do obszernego artykułu, który zamieściłem w zeszłym roku na łamach rocznika „Zagłada Żydów. Studia i Materiały”. Natomiast trzeba stanowczo podkreślić, że hitlerowska propaganda prowadzona po polsku, dla Polaków, była o tyle skuteczna, o ile mogła „współgrać” z uczuciami i nastrojami polskich odbiorców. Nieudolne próby prowadzenia przez Niemców czysto antyalianckiej propagandy zostały szybko zaniechane, gdyż po prostu nie było na to chętnych. Niemcy szybko pojęli, że w propagandzie dla Polaków mogą eksploatować dwa „nośne” tematy: antybolszewizm oraz niechęć do Żydów. I w tym właśnie kierunku poszły ich późniejsze wysiłki. Dlatego też więcej miejsca poświęcam przedwojennej propagandzie i antysemitycznym kliszom rozpowszechnianym przez prasę katolicką oraz przez partie prawicowe. To właśnie one przygotowały grunt, który później mogli dalej zagospodarować Niemcy. A jeżeli chodzi o źródła i o trwałość antysemitycznych stereotypów w Tarnowie i okolicach, to B. Musiał nie musi sięgać dalej niż po pracę swojego stryja A. Musiała, który pisząc w 2003 r., doliczył się „zaledwie 10 Polaków” podczas rozmów przy okrągłym stole.

Na końcu swojej „recenzji” Musiał oskarża mnie hurtem o „antychłopskie uprzedzenia”. Tu też Musiał myli się, choć muszę przyznać, że nie darzę sympatią ludzi, którzy za okupacji wydawali i mordowali Żydów — bez względu na to, czy byli chłopami, robotnikami, czy też inteligentami pracującymi.

Rznięcie nożem po omacku

W tytule przyrównałem polemikę prowadzoną przez Musiała do rznięcia nożem po omacku. Nie znaczy to jednak, że wszystkie ciosy zadane w ten sposób chybiamy celu. Kilka zarzutów Musiała traktuję poważnie i uważam, że warte są poważnego namysłu. Najważniejszy z nich to brak omówienia roli polskiego podziemia w polowaniu na Żydów. Jak już wcześniej wspominałem, na podstawie dostępnych źródeł nie udało mi się ustalić, czy i w jakim stopniu AK, BCh, NSZ i inne organizacje podziemne włączyły się w akcję „polowania na Żydów” na terenie powiatu Dąbrowa Tarnowska. Prowadząc obecnie badania na terenie innych powiatów, z całą pewnością poświęcę temu zagadnieniu więcej uwagi.

Kończąc: emocje Musiała to jedna sprawa. Bardziej mnie zmartwiła gotowość redakcji „Dziejów Najnowszych” do udostępniania swoich łamów komuś tak skrajnie uprzedzonemu, komuś, kto w sposób skrajnie tendencyjny próbuje zanegować wartość badań historycznych, które odbiegają od jego wizji przeszłości i które dotyczą bliskiego mu terenu własnej wioski, czy powiatu. Rozumiem, że można występować w obronie stryja, wuja (o wuju z AK jest mowa w gazetowej wersji „light”) czy sąsiadów, ale dlaczego ma się to nazywać „recenzją naukową”? Już po przeczytaniu „recenzji” dowiedziałem się, że przynajmniej dwóch innych polskich historyków zostało wcześniej potraktowanych przez Musiała w podobny sposób — w tym jeden z nich właśnie na łamach „Dziejów Najnowszych”. Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że Musiałowi nie chodzi o jakość kwerendy, solidność ustaleń, lecz o samą tematykę i wnioski. Jedynym skutkiem Musiałowych pasji jest niezwykle nieudolna, acz przeprowad-

dzona brutalnie, próba zdezwuowania poważnych badań historycznych. Mogę mieć jedynie nadzieję, że czytelnicy „Dziejów Najnowszych” wyrzucą „recenzję” B. Musiała do kosza na śmiecie — tam, gdzie jest jej miejsce.

Jan Grabowski
Ottawa

Odpowiedź na replikę Jana Grabowskiego: „Rżnięcie nożem, czyli polemika historyczna à la Bogdan Musiał”

Jana Grabowskiego poniosły wyraźnie emocje, gdy pisał odpowiedź na moje krytyczne uwagi pod adresem jego publikacji *Judenjagd* zamieszczone w „Dziejach Najnowszych” (2011, nr 2, s. 159–170). Grabowski odrzuca moje zarzuty, obstaje przy swoich poważnych uchybieniach, usiłując równocześnie zdyskredytować moją osobę. Niestety popełnia przy tym kolejne błędy i dopuszcza się nadużyć.

Jan Grabowski już na samym początku oskarża mnie o „autoplagiat”, ponieważ już wcześniej opublikowałem w „Rzeczpospolitej” dwa teksty na temat *Judenjagd* (recenzja i replika), o czym rzekomo nie poinformowałem czytelnika „Dziejów Najnowszych”. Zdaniem Grabowskiego: „Jedyna zmiana to dodanie pewnej liczby przypisów, rozbudowanie kilku wątków oraz wprowadzenie kosmetycznych przeróbek stylistycznych”. Po pierwsze nie można powiedzieć, że jest to ten sam tekst. Został on przerobiony i rozbudowany. W publikacji w „Dziejach Najnowszych” rozwinąłem zarówno istniejące już wątki, jak i dodałem nowe oraz uzupełniłem aparatem naukowym.

Po drugie jest czymś oczywistym, że autorzy często redagują swoje teksty w formie publicystycznej (dla szerszej publiczności), a następnie uzupełniają je o przypisy, rozwijają i dodają nowe wątki na potrzeby publikacji naukowych. Czasami kolejność jest odwrotna. Dlatego Jan Grabowski odmawia mnie i redakcji „Dziejów Najnowszych” prawa do powszechnie stosowanej praktyki?

Od tego bezpodstawnego zarzutu Grabowski przechodzi do insynuacji: „Musiał [...] czuje się szczególnie powołany do obrony swoiście rozumianego honoru swojej społeczności”. Jego zdaniem, stąd się bierze moja ostra krytyka jego publikacji. Zastanawia mnie, skąd mój oponent może wiedzieć, co czuję? Czy zatem, gdy krytykowałem organizatorów słynnej wystawy „Zbrodnie Wehrmacht”, to czułem się powołany do obrony honoru żołnierzy Wehrmachtu? Co ciekawe, również wtedy podobne insynuacje padały pod moim adresem.

Zapewniam mojego interlokutora, że nie chodziło mi wtedy o honor żołnierzy Wehrmachtu. Jednak oglądając wspomnianą już wystawę, byłem zaszokowany rozmiarem dyletanctwa, manipulacji i innych nadużyć jej organizatorów. Podobna sytuacja miała miejsce w związku z moją krytyką publikacji *Sąsiedzi* Jana T. Grossa. Mimo to wystawa o zbrodniach Wehrmachtu, jak i publikacja Jana T. Grossa zostały okrzyknięte przez różne — w tym także naukowe — autorytety poważnymi i przełomowymi „wydarzeniami” naukowymi.

Również prezentowana przez mnie krytyka *Judenjagd* nie ma nic wspólnego z „obroną honoru”, w tym przypadku mojej „społeczności”, lecz jest wyrazem głębokiego szacunku dla badań naukowych i prawdy historycznej. Tymczasem publikacja Jana Grabowskiego za-

skakuje ogromem błędów merytorycznych, uchybień i nadużyć językowych (np. niemieccy oprawcy stają się u Grabowskiego „przełożonymi” swoich ofiar). Do tego dochodzą częste wypaczenia kontekstu historycznego i manipulacja źródłami. Pomimo przytoczenia przeze mnie przykładu owej manipulacji w *Judenjagd* (s. 163 n.), Grabowski nie odniósł się do niej w swojej replice.

O silnym wzburzeniu Jana Grabowskiego świadczy jego atak na Adama Musiała, mojego stryja. O ile jeszcze w *Judenjagd* Adam Musiał jest często przywoływanym „historykiem Powiśla Dąbrowskiego” (s. 156) i nader wiarygodnym autorem, o tyle po mojej krytyce tej publikacji ocena Adama Musiała przez Jana Grabowskiego zmienia się diametralnie. Nagle Adam Musiał przestaje być dla Grabowskiego wiarygodnym źródłem godnym cytowania.

Co jest przyczyną tej wolty? Adam Musiał opublikował własnym nakładem książkę *Lata w ukryciu*, w której wiele miejsca poświęcił tematowi „polowania na Żydów”. Tymczasem Grabowski przeoczył tę publikację podczas swojej kwerendy, podobnie zresztą jak i inne ważne źródła, co przy tak wąskim zakresie badań musi budzić zdziwienie. Dzieło *Lata w ukryciu* zawiera zbierane przez autora w ciągu dziesiątków lat relacje naocznych świadków z powiatu Dąbrowa Tarnowska i okolic, w tym także tych, którzy pomagali ukrywającym się Żydom. Większość tych świadków już nie żyje, a innych relacji niestety nie mamy lub są one bardzo sporadyczne. Dlatego książka *Lata w ukryciu* — pomimo pewnych niedociągnięć — jest cennym źródłem dla historyka podejmującego temat „polowania na Żydów”.

Podobnego zdania o pracy *Lata w ukryciu* są również inni badacze, bynajmniej nie spokrewnieni z jej autorem. Np. Krystyna Samsonowska w swojej nader krytycznej recenzji *Judenjagd* pisze: „Ważnym i bardzo ciekawym materiałem, do którego nie dotarł [Jan Grabowski], okazała się — może niezbyt fachowo wydana, ale ważna — dwutomowa, licząca blisko 600 stron publikacja Adama Musiała *Lata w ukryciu*”¹.

Na podstawie wspomnianych i wielu podobnych relacji Adam Musiał napisał inną książkę, pt. *Krwawe upiory*, która ukazała się w 1993 r. I tę właśnie publikację Jan Grabowski często przywołuje w *Judenjagd*. Niestety nie zawsze w sposób prawidłowy.

I tak oto Adam Musiał, do niedawna jeszcze rzetelny i wiarygodny „historyk Powiśla Dąbrowskiego”, stał się z dnia na dzień antysemitycznym autorem, którego nie należy cytować. Gdyby Grabowski chciał być konsekwentny, musiałby teraz, po odkryciu „nieprawomyślnych” przekonań nieżyjącego już Adama Musiała, wycofać swoją pracę z księgarń, wykreślić z niej nazwisko Adama Musiała oraz wyciąć przypisy powołujące się na jego dorobek, czyli opublikować *Judenjagd* na nowo. Tak jak to robił towarzysz Stalin i jego uczniowie.

Jan Grabowski w swoim opracowaniu całkowicie pominał polskie relacje, które miał do słownie na wyciągnięcie ręki, opierając się niemal wyłącznie na zeznaniach świadków podczas procesów powojennych, które były i pozostają nadal problematyczne. Nie jest bowiem dla nikogo tajemnicą, że niejednokrotnie mają miejsce przed sądem fałszywe oskarżenia.

Wielokrotne zaniżenie liczby uratowanych Żydów

Niechlujność kwerendy przeprowadzonej przez Jana Grabowskiego widać na każdym kroku, a w szczególności w jego tabelce na stronach 145–148 *Judenjagd*, która zawiera spis 38 ocalałych z Holocaustu na terenie powiatu Dąbrowa Tarnowska. Grabowski zastrzega co prawda, że jego tabela nie zamyka listy Żydów ocalałych na terenie powiatu (*Judenjagd*, s. 148), nie zmienia to jednak faktu, jak podkreśla słusznie cytowana już tutaj Krystyna

¹ K. Samsonowska, *Dąbrowa Tarnowska — nieco inaczej*, „Więź” 2011, 7 (633), s. 75–85.

Samsonowska, że właśnie ta wielokrotnie zaniżona liczba (patrz poniżej) „kształtuje opinię publiczną”².

Wspomniana Krystyna Samsonowska, która nie prowadziła bynajmniej dogłębnych badań, co podkreśla wielokrotnie, również opracowała tabelę z uratowanymi z Holocaustu na terenie powiatu Dąbrowa Tarnowska. Tabela ta zawiera 90 nazwisk ocalonych, podczas gdy Jan Grabowski, który ciągle podkreśla swoje rzekome obszerne badania, podaje tylko 38 nazwisk. Samsonowska pisze równocześnie, że do tej liczby trzeba doliczyć jeszcze kilkadziesiąt innych uratowanych, których z różnych przyczyn nie uwzględniła w swojej tabeli. „To wszystko razem wzięte poważnie zmienia proporcje wyliczeń”, pisze słusznie Samsonowska³.

Również ja zwróciłem uwagę w swojej recenzji, że Grabowski znacznie zaniżył liczbę uratowanych. W swojej replice Grabowski odrzuca mój zarzut i pisze: „Dane z tabelki dotyczą uratowanych, których losy mogę potwierdzić na podstawie dokumentacji sądowej oraz relacji żydowskich. Czy B. Musiał ma trudności ze zrozumieniem języka polskiego?”

Problem polega jednak w tym, że skala wypaczenia rzeczywistości nie jest marginalna, nie dotyczy przecież 10 czy 20%, lecz wielokrotności! Drugim problemem jest, że autor *Judenjagd* odnosi się równocześnie z wielkim lekceważeniem, wręcz arogancją, do ustaleń lokalnych badaczy, którzy podają liczbę około 150 uratowanych Żydów na terenie powiatu Dąbrowa Tarnowska. I to liczba około 150 uratowanych podawana przez lokalnego „amatora historyka”, jak pisze Grabowski, jest zdecydowanie bliższa rzeczywistości niż jego własne ustalenia rzekomo na podstawie „dostępnej nam dokumentacji archiwalnej” (*Judenjagd*, s. 53–55, 148).

„Amatorzy historycy” — jak twierdzi naukowiec Grabowski — dysponowali zatem znacznie lepszym warsztatem naukowym i tym samym okazali się bliżsi prawdy niż zdecydowanie zbyt mocno przekonany o swoich umiejętnościach badawczych i językowych (patrz poniżej) Jan Grabowski.

Przez ten zabieg, który wynika zapewne z niechlujności badawczej połączonej z lekceważeniem badań lokalnych „amatorów historyków”, Jan Grabowski pominął setki mieszkańców powiatu Dąbrowa Tarnowska, którzy udzielali pomocy prześladowanym Żydom. Aby uratować jednego Żyda z rąk niemieckich oprawców, potrzeba było z reguły pomocy wielu ludzi, którzy ryzykowali życiem swoim, swoich rodzin oraz sąsiadów. Trudno o przykład większego poświęcenia w stosunku do innych ludzi.

Językowa niekompetencja Jana Grabowskiego

Wyjątkowo groteskowa jest próba obrony przez Jana Grabowskiego błędnego tłumaczenia „Beutegermanen” jako „Germanie od łupów”. Jest to ewidentny błąd, którego nie da się w jakikolwiek sposób usprawiedliwić: „Beutegermanen” to nie „Germanie od łupów”, jak twierdzi Grabowski, lecz „Germanie jako łup wojenny”. Nie miało to żadnego związku z procederem, którym „Beutegermanen” mieliby się trudnić, o czym przekonany jest Grabowski. Na terenie okupowanej Polski określano w ten sposób Volksdeutsche, a nie członków formacji oddziałów pomocniczych ze Wschodu.

Broniąc swojego błędnego tłumaczenia, Grabowski odsyła do „literatury historycznej”, nie podając jednak źródła (czyli nie można tego zweryfikować), oraz do... niemieckiej Wikipedii. Wpis w niemieckiej Wikipedii faktycznie jest, oczywiście w języku niemieckim.

² Ibidem, s. 80.

³ Ibidem.

Nie ma tam jednak mowy, aby „Beutegermanen” tłumaczono na język polski jako „germanie od łupów”, co stanowi istotę mojego zarzutu wobec Grabowskiego. Nie wspominając o tym, że Wikipedia była i jest nader problematycznym źródłem. Nie bez powodu niektórzy nazywają Wikipedię triumfem „rządów umysłowego motłochu”⁴.

Również kontekst, w którym Autor *Judenjagd* używa pojęcia „Beutegermanen”, wskazuje, że chodzi o Volksdeutsche. Otóż Grabowski opisuje w *Judenjagd* na stronach 123–124 pierwszą akcję likwidacji Żydów w Tarnowie, która miała miejsce w dniach od 11 do 18 VI 1942 r. Według ustaleń niemieckich sądów w tej akcji brali udział: Schutzpolizei, Żandarmeria, Stadtpolizei, Kompania Waffen-SS (SS-Batalion z Dębicy, składający się z Niemców) oraz siły, które podlegały niemieckiej administracji cywilnej, a byli to junacy z Baudienstu — przymusowo (pod karą śmierci) wcielani — oraz oddział Sonderdienstu, o którym jednak Grabowski w *Judenjagd* nie wspomina⁵.

Sonderdienst była policją pomocniczą w Generalnym Gubernatorstwie utworzoną w 1940 r., podlegającą administracji cywilnej i składającą się wyłącznie z ochotników wywodzących się z Volksdeutsche. I to zapewne byli ci „Beutegermanen”, o których czytamy w *Judenjagd*. Udział Sonderdienstu w akcji „wysiedlania” Żydów w Tarnowie oznacza również to, że niemieccy urzędnicy brali udział w tej akcji. Natomiast Grabowski przyjmuje „na dobrą wiarę”, że istniał dla nich zakaz zbliżania się do getta w czasie akcji. Jednym pociągnięciem pióra Grabowski odciążył więc kierownictwo niemieckiej administracji cywilnej oraz Volksdeutsche z Sonderdienstu od udziału w tej zbrodni. Niby mały błąd, ale jakże daleko idące konsekwencje dla całości narracji.

Groteskowy jest także upór Grabowskiego przy jego „ustaleniu”, jakoby mieszkańcy powiatu Dąbrowskiego w obliczu zagłady zaprzestali mówić o „mordowaniu Żydów”, a zaczęli używać bardziej „bezosobowego określenia «strzelania Żydów»”. Dlatego pozwolę sobie na osobistą uwagę: Panie Grabowski, powtarzam raz jeszcze: Znam miejscową gwarę i jej różne odcienie i zapewniam, że „strzelanie Żydów” nie różni się niczym w swojej wymowie od „zabijania Żydów”, „strzelania do Żydów”, czy też „strzelania Polaków”, „strzelania do Polaków”, jak również „strzelania ludzi”. Oznacza to samo co zabijanie lub mordowanie, a tych pojęć używali mieszkańcy powiatu Dąbrowa Tarnowska także w stosunku do Żydów i używają nadal w stosunku do kogokolwiek, do kogo się strzela. Natomiast Grabowski, nie mając wiedzy o specyfice miejscowej gwary, upiera się, że wie lepiej. Trudno o bardziej infantylną postawę w przypadku historyka.

„Na dobrą wiarę” a krytyka źródeł

Moja krytyka Jana Grabowskiego opierała się również na tym, że przyjmuje on zeznania ocalałych z Holocaustu na „na dobrą wiarę”. Grabowski w swojej replice zarzuca mi „polemiczne cytowanie” i upiera się, że wartość tych dokumentów (relacje ocalałych z Holocaustu) „ograniczona jest jedynie ułomnością ludzkiej pamięci”, dlatego należy je przyjmować „na dobrą wiarę”. Pracuję nad relacjami ocalałych z Holocaustu od wielu lat i wiem, jak są waż-

⁴ Twórca „wirtualnej rzeczywistości”: nie poszło nam z internetem, „Gazeta Wyborcza”, 16 IX 2011: <http://wyborcza.pl/1,118283,10300412,Tworca_wirtualnej_rzeczywistosci___nie_poszlo_nam.html#ixzz1YBE6FTFa>.

⁵ W. Curilla, *Der Judenmord in Polen und die deutsche Ordnungspolizei 1939–1945*, Paderborn 2011, s. 368–370; M. Cüppers, *Webreiter der Shoah. Die Waffen-SS, der Kommandostab Reichsführer-SS und die Judenvernichtung 1939–1945*, Darmstadt 2005, s. 287 n.

nym, a zarazem trudnym źródłem. Ale oddam głos w tej sprawie innym badaczom, którzy sami należą do ocalałych z Holocaustu, a więc Grabowski powinien przyjmować ich ustalenia „na dobrą wiarę”. Joseph L. Lichten, jeden z ocalałych, napisał w 1966 r.:

Większość z nich [mowa o pamiętnikach, relacjach, wspomnieniach ocalałych z Holocaustu] spisano podczas poważnego kryzysu emocjonalnego bądź bezpośrednio po nim, gdy oko obserwatora zamglone było łzami. Nawet w wypadku tych, którzy spisali swoje wspomnienia kilka lat potem, komentatorzy, włączając w to naszego autora [Lichtena], są oni ponownie obezwładnieni przez ból i wspomnienia tego diabelskiego okresu [Holocaustu]. W rezultacie mamy dokument pełen bólu zrodzony w tragedii, której doświadczył autor i ludzie, o których wspomina. [W takich warunkach] wymagany jest Hiobowy wysiłek, aby zachować obiektywizm⁶.

Inny z ocalałych z Holocaustu, dr Samuel Gringauz, pisał już w 1950 r.:

Istnieje wiele trudności w badaniu żydowskiej katastrofy. Miała ona miejsce na ogromnym obszarze geograficznym. Katastrofa ta spowodowała niesamowitych rozmiarów cierpienia osobiste oraz konwulsje społeczne i emocjonalne. [...] W końcu istnieje coś, co można nazwać hiper-histerycznym kompleksem tych, którzy przeżyli [*hyperhistorical complex of the survivors*]. Nigdy przedtem w dziejach uczestnicy wydarzeń nie odczuwali, że wydarzenie, w którym biorą udział, jest częścią powstającej historii, która kształtuje epokę. Nigdy przedtem nie czuło się, że doświadczenia osobiste są istotne w wymiarze historycznym. Rezultatem tego hiper-histerycznego kompleksu jest to, że w krótkim okresie powojennym doświadczyliśmy powodzi „materiałów historycznych” bardziej „wymyślonych” niż „zebranych”. W ten sposób dzisiaj najbardziej delikatnym aspektem badań jest weryfikacja tak zwanego „materiału badawczego”.

Ów kompleks hiper-histeryczny można określić jako **judeocentryczny, logocentryczny i egocentryczny**. Umieszcza on istotę problemów żydowskich w kontekście wydarzeń lokalnych, widzianych przez pryzmat doświadczeń osobistych. Oto dlaczego większość pamiętników i relacji pełna jest absurdalnej gadatliwości, grafomańskiej przesady, efektów dramatycznych, przesadzonej autopromocji, dyletanckiego filozofowania, aspiracji lirycznych, niesprawdzonych plotek, uprzedzeń, stronniczych ataków i apologii. Dlatego pozostaje kwestia, czy uczestnicy epoki, która wstrząsnęła światem, w ogóle mogą stać się jej historykami oraz czy nadszedł już czas, w którym możliwe jest wydanie osądu historycznego, wolnego od stronniczości, mściwości i skrytych motywów [wytłuszczenia woryginałach]⁷.

Nie na darmo poważni badacze od lat krytykują manierę przyjmowania relacji ocalałych z Holocaustu „na dobrą wiarę”. István Deák pisze:

⁶ J. L. Lichten, *Some Aspects of Polish–Jewish Relations during the Nazi Occupation*, w: *Studies in Polish Civilization. Selected papers presented at the First Congress of the Polish Institute of Arts & Sciences in America, November 25, 26, 27, 1966 in New York*, ed. by D. S. Wandycz, New York and Hove, Sussex 1970, s. 154–175, tutaj s. 156. Tłumaczenie na język polski według: M. Chodakiewicz, *Żydzi i Polacy 1918–1955. Współistnienie — Zagłada — Komunizm*, Warszawa 2000, s. 542.

⁷ S. Gringauz, *Some Methodological Problems in the Study of the Ghetto*, „Jewish Social Studies: A Quarterly Journal Devoted to the Historical Aspects of the Jewish Life” [New York], no. 12 (1950), s. 65–66. Tłumaczenie na język polski według: M. Chodakiewicz, *Żydzi i Polacy*, s. 540–541.

Dokładny zapis historyczny Holocaustu jest zagrożony, moim zdaniem, przez bezkrytyczne rekomendowanie [endorsement], często przez bardzo znanych żydowskich pisarzy czy osoby publiczne, właściwie każdej relacji osób, które przeżyły [Zagładę], bądź tym podobnej twórczości⁸.

Te opinie są znane od lat, także w Polsce. Jeżeli J. Grabowski ich nie zna lub nie bierze pod uwagę, to znaczy, że nie jest przygotowany do zajmowania się tak trudną materią, jak dzieje Holocaustu. I już z tego powodu *Judenjagd* jest w moim przekonaniu regresem naukowym.

Udział AK w polowaniu na Żydów

Jan Grabowski w swojej replice daje wyraz głębokiemu rozczarowaniu, że nie przekonywających dowodów na udział AK w polowaniu na Żydów w powiecie Dąbrowa Tarnowska, oraz informuje czytelników, że nie zaprzestał swoich poszukiwań takich źródeł, tym razem w innym powiecie. Jednym słowem, Jan Grabowski szuka „haków” na AK. Z nauką nie ma to nic wspólnego. Śpieszę również poinformować, że inni takie dowody już dawno znaleźli względnie sfingowali⁹.

Jan Grabowski pisze w swoje replice, że trudno sobie wyobrazić sytuację, „w której miejscowi chłopci, złapawszy dziewczynę z Armii Krajowej [...], gwałcą ją, a potem wloką na powozie na najbliższy posterunek niemieckiej żandarmerii, na śmierć”. Owszem, były podobne przypadki, i to niestety częste. A działo to się już we wrześniu 1939 r. na zachodnich terenach Polski (w szczególności na Pomorzu) i na Kresach. To tam Niemcy i Sowietcy okupanci otworzyli „sezon polowań” na ludzi z terenów Polski. Tylko że sprawcami nie byli Polscy chłopci, i na pewno nie z powiatu Dąbrowa Tarnowska. Takie polowania urządzone były na terenie Polski również po „wyzwoleniu” przez Armię Czerwoną. Niektórzy „myśliwi” żyją do dzisiaj i mają się całkiem dobrze. Jest to kolejny przykład wskazujący na to, że Jan Grabowski nie zna realiów historycznych panujących w okupowanej Polsce.

„Badacz z IPN-u”

W swojej replice Jan Grabowski twierdzi, że jakoby pracuję w IPN-ie, nazywa mnie „badaczem z IPN-u” oraz tytułuje „doktorem”. Nie wiem, skąd mój interlokutor czerpie te informacje, być może z Wikipedii, tam taki wpis faktycznie widnieje (stan na: 12 IX 2011 r.). Gdyby Jan Grabowski przeczytał uważnie moją recenzję *Judenjagd* w „Rzeczpospolitej”, to znalazłby pod nią następujący zapis: „Bogdan Musiał jest profesorem UKSW”. Zapis ten od-

⁸ I. Deák, *Memories of Hell*, „The New York Review of Books”, 26 June 1997, s. 38. Tłumaczenie na język polski według: M. Chodakiewicz, *Żydzi i Polacy*, s. 543.

⁹ 19 VII 2004 r. odbyłem w Berlinie pouczającą rozmowę z niemiecką dziennikarką i dokumentalistką, która właśnie kręciła film o zbrodniach AK na Żydach. Głównym wątkiem jej obrazu miał być rzekomy rozkaz dowództwa AK z września 1943 r. dotyczący likwidacji Żydów ukrywających się w lasach, czyli „polowania na Żydów”. Zwróciłem uwagę, że ów rozkaz to klasyczna komunistyczna fałszywka. Wspomniana pani dziennikarka doznała szoku i oświadczyła, że to wykluczone. Wyjaśniła mi ponadto, że znalazła naocznych świadków w Polsce, którzy ten rozkaz osobiście czytali i rzekomo nawet roznosili jako kurierzy. Powoływała się przy tym na różnych specjalistów ds. Holocaustu, którzy o tym już przecież pisali, w szczególności Franka Golczewskiego z Hamburga. Służę Janowi Grabowskiemu również literaturę historyczną, gdzie z całą powagą rozkaz ten jest cytowany jako w pełni wiarygodne źródło.

powiada faktom, niezależnie od tego, co ktoś napisał anonimowo na Wikipedii i jakie zdanie ma na ten temat mój adwersarz. Przyjętą zasadą jest natomiast, że używa się albo prawidłowych tytułów, albo żadnych.

Równocześnie mam nieodparte wrażenie, że nazywanie mnie „badaczem z IPN-u” nie jest zwykłym przeoczeniem wynikającym z niedoinformowania, lecz celowym zabiegiem. Przecież różnej maści „profesjonalni historycy” usilnie starają się zdyskredytować historyków IPN. Co zresztą nie dziwi w przypadku osób mających za sobą współpracę z SB, krzewienie komunistycznej propagandy, itd., to właśnie oni są najzagorzalszymi krytykami „badaczy z IPN-u”. Jan Grabowski też chętnie sięga po taką próbę dyskredytowania swojego adwersarza. To wyraźny znak, że brakuje mu merytorycznych argumentów.

Pozostałe wywody Grabowskiego z repliki pozostawię już bez komentarza, gdyż to, co dotychczas napisałem i wykazałem, powinno wystarczyć, aby uświadomić czytelnikowi, że w taki sposób nie można pisać pracy naukowej. Albowiem w opracowaniu naukowym przede wszystkim nie przyjmuje się żadnych źródeł „na dobrą wiarę”, nie nagina się języka do własnych potrzeb (np. z oprawców nie robi się „przełożonych” ich ofiar, z wymuszonego udziału w obławach nie robi się „pospolitego ruszenia” czy też „kooperacji”) oraz unika się świata konfabulacji. Ustalenia faktyczne Grabowskiego, np. w kwestii tak kluczowej, jak liczba ocalałych w powiecie Dąbrowska Tarnowska Żydów, są po prostu nic nie warte.

W obliczu tych niedociągnięć, nadużyć, amatorszczyzny i niekompetencji uderza wręcz pewność siebie Jana Grabowskiego, który poucza innych, jak się powinno prowadzić badania, pisać prace i recenzje naukowe, a co nie powinno być publikowane lub cytowane.

Nie interesuje mnie osoba Jana Grabowskiego, lecz wyłącznie jego warsztat badawczy. A ten pozostawia bardzo wiele do życzenia. Natomiast tezy (również te najbardziej obrazoburcze) można naturalnie formułować, o ile są naukowo udowodnione. Niestety, wiele wskazuje na to, że liczne uchybienia, nadużycia i błędy Jana Grabowskiego nie są tylko efektem niestarannych i powierzchownych badań czy poważnych luk w wiedzy, lecz również i uprzedzeń Autora *Judenjagd*, jego skłonności do taniego moralizowania i konfabulacji à la Jan T. Gross, bez próby podjęcia rzetelnej rekonstrukcji kontekstu historycznego. Jego emocjonalna i nierzeczowa replika jest tego najlepszym dowodem.

Bogdan Musiał
Warszawa

W sprawie obiektywizmu w krytyce naukowej

Na łamach „Dziejów Najnowszych” w nr. 2 z 2011 r. ukazała się, autorstwa dr. hab. Włodzimierza Batoga z Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, recenzja książki dr. Anety Ignatowicz pt. *Przygotowanie obronne społeczeństwa w Polsce (1921–1939)*. Co prawda formalnie jest ona kierowana pod adresem autorki tej książki, ale niejako przy okazji Szanowny Recenzent wielokrotnie przywołuje moją osobę w kontekście wydanej przeze mnie książki pt. *Spoleczeństwo a obronność w Polsce (1918–1939)* (Toruń 2007). Jeżeli traktuje to jako jej promocję, to dziękuję za takowe wsparcie, i to przynajmniej z kilku powodów, o czym dalej.

Zanim ustosunkuję się do sugestii, przy okazji tej recenzji wysuwanych w formie nieco ukrytej i pod moim adresem, a przede wszystkim starań wykazania zbieżności tematyki, konstrukcji, a i powielania części treści mojej pracy przez A. Ignatowicz, stwierdzam, że w tej odpowiedzi zupełnie pomijam kwestie szczegółowe zawarte w przywoływanej recenzji. Odpowiedzi udzieli zapewne autorka książki, ja natomiast ustosunkuję się do spraw zasadniczych dotyczących przede wszystkim mojego opracowania i jego zbieżności z recenzowaną publikacją.

Nie mogę nie poinformować czytelników, że niniejsza recenzja jest i tak „bardzo łagodna” w porównaniu do akcji propagandowej jaka uruchomiona została zanim się ona ukazała, gdzie stawiano A. Ignatowicz jednoznacznie zarzut „plagiatu”. Do tego długo ukrywane było personalnie źródło tego odkrycia. Wieść przekazywana była tzw. metodą szeptaną, co wprowadziło Panią Doktor w taki stan psychiczny, iż zdecydowała się przerwać przewód habilitacyjny. W akcji tej wykorzystany został nawet „łowca plagiatów”, rzekomy „dziennikarz śledczy” (ukończył studia medyczne, a nie dziennikarstwo) dr Marek Wroński — ten zaś dziwnym trafem po braku samorealizacji w wyuczonym zawodzie — ima się tej roli w dyscyplinach, na których się niemal zupełnie nie zna. Kończąc ten wtęt, stwierdzam, że z obrzydzeniem odnoszę się do takich metod pozbywania się konkurencji lub prymitywnego utracania młodszych pracowników nauki.

Otóż powracając do stwierdzenia, że dziękuję Panu Doktorowi za swoistą formę promocji mojej książki, informuje, że była ona już recenzowana przez specjalistów z opisywanej tematyki, a nie autora, którego nawet drobnego doniesienia z problematyki dziejów II Rzeczypospolitej trudno się w historiografii doszukać, już nie mówiąc o tym, że nie występuje on do tej pory w niej zupełnie jako specjalizujący się w wojskowości czy obronności państwa polskiego, a nawet w skali powszechnej wojskowej historiografii. Muszę nieskromnie wskazać, że wydałem dotychczas 36 autorskich książek, w zdecydowanej większości poświęconych okresowi międzywojennemu, w szczególności wojskowości polskiej tego okresu. Domniemywam, co wynika z treści recenzji, że o wielu z nich Pan Doktor nawet nie wie, a cóż dopiero mówić o znajomości ich treści. Radziłbym wobec tego, aby podejmując temat przywoływany w jego recenzji, zapoznał się przede wszystkim z takimi moimi książkami,

jak: *Od demobilizacji do zamachu majowego. Wojsko Polskie w latach 1921–1926, Wojsko Piłsudskiego. Wojsko Polskie w latach 1926–1935 czy W obliczu wojny. Wojsko Polskie 1935–1939*. W nich bowiem są zamieszczone m.in. rozdziały o przygotowaniu obronnym społeczeństwa polskiego. Po tej lekturze może popełniłby mniej elementarnych błędów z tej tematyki, których w jego recenzji doszukałem się aż nadto wielu.

Kolejny powód podziękowań za promocję mej książki — prawdopodobnie konsekwencja niekompetencji w przywoływanym temacie — to zupełnie karkołomne opinie i wnioski, jakie zamieścił we własnej recenzji. Za sprawę szczególnie zdumiewającą uznaję posądzenie Pana Doktora o zbieżność treści się wykażać. Przy okazji dodać należy, że powyższa problematyka była poruszana także i przez innych autorów, czego Recenzent zupełnie nie dostrzega.

Pan Doktor musiał się bardzo wybiórczo zapoznać z treścią mojej książki pt. *Społeczeństwo a obronność w Polsce...*, skoro nie dostrzegł, że w niej znajduje się tylko około 7 ark. wyd. dotyczących problematyki, którą zajmuje się dr Ignatowicz; jej książka ma objętość 29 ark. wyd. Czy wobec tego mogła w swej pracy „powielić” tylko moje ustalenia?

O różnicach w obu przywoływanych książkach świadczy nie tylko zasadnicza różnorodność ich objętości, ale też i konstrukcja. Teraz o tej drugiej sprawie. Otóż moja przywoływana książka tylko w rozdziale drugim pt. „Edukacja i przysposobienie wojskowe w latach 1918–1939” zajmuje się sprawami przygotowania obronnego społeczeństwa polskiego, pierwszy rozdział poświęcony jest innej kwestii, o czym świadczy jego tytuł „Wychowanie i szkolenie wojskowe w latach 1918–1939”. To zupełnie dwie różne sprawy. Dla wyrobienia sobie przez czytelników własnego sądu o skopiowaniu mojej konstrukcji przez dr Ignatowicz przywołam podział mojego rozdziału drugiego — bo tylko on dotyczy problematyki przysposobienia obronnego społeczeństwa polskiego. Oto w kolejności tytuły podrozdziałów: „Tradycje edukacji i przysposobienia wojskowego w Polsce do 1921 roku”, „Przysposobienie obronne społeczeństwa w latach 1921–1926”, „Próba centralizacji przysposobienia wojskowego w latach 1926–1935”, „Realizacja hasła «naród pod bronią»”. Jaki wobec tego ma układ konstrukcyjny książka A. Ignatowicz? Podzielona została na cztery rozdziały o tytułach: „Wizje przyszłej wojny w polskiej myśli wojskowej okresu międzywojennego” (zupełnie o tym nie piszę w przywoływanej pracy), „Edukacja i przysposobienie obronne społeczeństwa w latach 1921–1926” (nie zajmuję się edukacją), „Koncepcje kierowania przez państwo i wojsko przysposobieniem obronnym społeczeństwa w latach 1926–1935” (piszę o próbach centralizacji, dr Ignatowicz o koncepcjach rządowych i na szczeblu wojska) i „Przygotowanie obronne społeczeństwa w okresie narastania zagrożenia wojennego w latach 1935–1939” (w mojej pracy dominuje wykazanie praktycznego realizowania hasła „naród pod bronią”). Prawdziwe różnice oddają jednak nie tyle tytuły rozdziałów, ile podrozdziałów — w wypadku pracy A. Ignatowicz jest to w kolejności odpowiednio cztery, pięć, sześć i osiem. Gdzież tu występować ma tak silnie akcentowana przez Recenzenta zbieżność konstrukcyjna? Do tego — efekt słabego oboznania z problematyką wojskowości II RP — sugeruje on zbieżność cezur w rozdziałach mojej książki i A. Ignatowicz, czyli podziału na okresy: 1921–1926, 1926–1935 i 1935–1939. Tak, powyższy podział nie został wymyślony ani przeze mnie, ani Panią Doktor, jest bowiem niemal powszechnie uznany przez poważnych historyków badających okres międzywojenny w Polsce. Został więc przyjęty jako zasadny. Wobec powyższego proponowałbym umiar w stawianiu zarzutów i ferowaniu opinii, zwłaszcza gdy nie ma to merytorycznego uzasadnienia.

Pan Recenzent — trudno się dziwić, znając dokonania twórcze w analizowanej problematyce — nie odróżnia jednak jednej zasadniczej kwestii, w której zabiera głos. Nie rozumie terminu „przygotowanie obronne” — jest to termin znacznie szerszy od „edukacji i przy-

sposobienia wojskowego”. W tym obszarze natomiast występuje znacząca różnica w treści mojej książki i tej podejmowanej przez dr Ignatowicz. Ona bowiem wyraźnie szerzej ujęła analizowaną problematykę. Jest to niewątpliwa zaleta tego dzieła.

Niekompetencje Pana Doktora, a może działania celowe, ujawniają się przede wszystkim w zapisie: „obie prace są zbieżne, jeżeli chodzi o zakres chronologiczny i geograficzny”. Otóż one różnią się nie tylko chronologicznie — A. Ignatowicz zupełnie nie zajmuje się latami 1918–1921, ale i zdecydowanie pod względem konstrukcyjnym, co zostało już przywołane. Zaś co do zakresu geograficznego, to śmieszność tej tezy polega na tym, że książek o dziejach Polski międzywojennej są setki, albo i więcej, w tym także na temat jej wojskowości. Nie oznacza to, że kolejni badacze nie mogą się tym obszarem już zajmować. Z kolei doszukiwanie się podobieństw obu prac w uzasadnieniu badań twierdzeniem „w polskiej historiografii brakuje opracowania monograficznego tak rozumianego tematu” uznać można za humorystyczne — magistrant historii by takiego zarzutu nie stawiał — gdyby nie konsekwencje kroku, jaki był finałem tych zauważonych „często urojonych” opisywanych zapożyczeń — w tej oficjalnej recenzji zarzut plagiatu już się nie pojawia. Powracając do podobieństw w uzasadnieniu badań, stwierdzam, że zarówno ja, jak i A. Ignatowicz mieliśmy prawo użyć zacytowanego zwrotu. Dopiero praca dr Ignatowicz ma formę monograficznego ujęcia tematu. Ja skromnie napisałem w przywoływanej przez Pana Doktora książce: „Obecny stan badań nie pozwala na realizację zamiaru przedstawienia pełnej monografii” i to była wówczas prawda. Badania dr Ignatowicz natomiast już pozwoliły na nazwanie tej pracy monografią. Takich absurdów w tej recenzji jest bez liku.

Czy dr Ignatowicz korzystała z mojej książki jako pewnego przewodnika przy przeprowadzeniu badań własnych? Z pewnością tak, ona tego faktu nie neguje, ale gdyby tego nie uczyniła, to naraziłaby się na zarzut nieznamomości literatury przedmiotu. Czy nie ma w jej książce pewnych zapożyczeń? Można je odnaleźć, ale taki zarzut postawić można dużej liczbie historyków dość powszechnie to stosujących. Tyle tylko, że stwierdzam, iż z reguły są one w jej przypadku, w odniesieniu do mojej publikacji, opatrzone przypisem, skąd pochodzą. Odnoszą się też nie tylko do mojej przywoływanej książki, ale i innych publikacji, które są mojego autorstwa.

Oświadczam, iż mój opublikowany dorobek traktuję nie jako własność prywatną, lecz publiczną i wobec wydania przywołanej już liczby książek jest on bardzo często cytowany. Traktuję to jako uznanie mojego dorobku i staram się publikować dalej, stąd nie zajmuję się — i nie będę tego czynił — śledzeniem, czy jakiś fragmentik lub pojedyncza teza moim przemyśleń nie zostały przez jakiegoś autora wykorzystane w jego dziele. Do tego pewne podobieństwa, wybrane jako pojedyncze zdania czy myśli, wynikają także i z tego, że korzystamy często z tych samych źródeł, w tym archiwalnych, i dlatego są one niemal nie do uniknięcia.

W kontekście powyższych wywodów osobiście nie wnoszę żadnych pretensji wobec pewnego wykorzystania przez dr Ignatowicz moich fragmentarycznych ustaleń badawczych, a Szanownego Pana Batoga proszę, by nie był adwokatem w mojej sprawie, nie jest bowiem o to proszony. Radziłbym mu też — jest jeszcze młodym badaczem — by na przyszłość wykazywał większy umiar w ferowaniu skrajnych opinii i ocen, zwłaszcza gdy dotyczy to tematyki, która, bardzo ogólnie twierdząc, nie jest jego domeną badawczą.

Lech Wyszczelski
Siedlce

Panu profesorowi Wyszczałskiemu w odpowiedzi

1. Uważam, że Pana praca *Społeczeństwo a obronność w Polsce 1918–1939* oraz praca Anety Ignatowicz *Przygotowanie obronne społeczeństwa w Polsce (1921–1939)* dotyczą podobnego zagadnienia, analizowanego w zasadniczo tym samym przedziale czasowym i na tym samym obszarze geograficznym. To jest stwierdzenie faktu, a nie zarzut. Zdając sobie sprawę z szerszego charakteru drugiej z wymienionych prac, napisałem, że „odnieść można wrażenie, że praca Ignatowicz ma wypełnić lukę” w dotychczasowym stanie wiedzy.

2. Przedmiotem recenzji nie była polemika z ustaleniami Ignatowicz, ale zwrócenie uwagi na fakt daleko idących zapożyczeń, między innymi z Pana książki. Świadom jestem, że **jako całość** obie prace różnią się. Zapozyczenia dotyczące konstrukcji zauważyłem w „niektórych partiach jej pracy”. Wskazałem je poprzez opisanie (z podaniem numeru stron) co i jak zostało wykorzystane przez autorkę z Pana monografii.

3. Poza zbieżnościami konstrukcyjnymi dostrzegłem i przytoczyłem napisane przez Anetę Ignatowicz zdania lub fragmenty, które — czasem identyczne, czasem bliźniaczo podobne — znajdują się w pańskiej książce. Moim zdaniem, w formie występującej w *Przygotowaniu obronnym*... są one niedopuszczalne, ponieważ nie są oryginalnym, samodzielnym wkładem autorki ani poprawnie sporządzoną parafrazą. Nie są także cytatem, ponieważ nie opatrzone ich cudzysłowem. Nawet jeśli autorka daje przypis do Pana pracy, to wiernie przepisuje zdania, które wcześniej napisał Pan. Wskazałem to w swojej recenzji.

4. Nie stawiam Anecie Ignatowicz zarzutu, że korzysta z Pana pracy. Czynię jej zarzut ze sposobu, w jaki to robi.

5. Na cztery strony maszynopisu Pana repliki do meritum mojego tekstu odnoszą się dwa akapity, przedostatni i trzeci od końca, pozostałymi stara się Pan udowodnić moją niezajomość spraw wojskowych, podejmowanie „akcji propagandowej”, „pozbywania się konkurencji, prymitywnego utracania młodszych pracowników nauki” oraz „działania celowe”. To nie jest dyskusja na płaszczyźnie naukowej. Dlaczego nie odnosi się Pan do wskazanych przeze mnie zapożyczeń i tego, jak wykorzystwała je autorka? Pisze Pan, że w mojej recenzji jest absurdów i błędów „bez liku”. Dlaczego nie wymienia Pan ani jednego? Pisze Pan także, że nie ma Pan pretensji o „pewne wykorzystanie” pańskiej książki przez Ignatowicz. Rozumiem więc, że w pełni akceptuje Pan zastosowaną przez nią w pracy metodę badawczą i sposób, w jaki jej używa.

Włodzimierz Batóg
Kielce

List do redakcji „Dziejów Najnowszych”

Z zainteresowaniem zajrzeliśmy do polemiki naszych kolegów z „Tygodnika Wojennego” z tekstem Jana Olaszka zamieszczonym w 4 numerze „Dziejów Najnowszych” z ub. roku. Spodziewaliśmy się jakichś nieznanych nam szczegółów związanych z ich pracą w jednej z tzw. redakcji zastępczych „Tygodnika”, mogących dopełnić obrazu pisma, którego skomplikowana struktura wyklucza pełną wiedzę kogokolwiek z uczestników tego przedsięwzięcia, powołanego do życia przez nas i grupę naszych koleżanek i kolegów po 13 XII 1981 r. Tymczasem nic z tych rzeczy. Mówi się, że z czasem wśród tych, którzy pozostali, ubywa żołnierzy, natomiast mnożą się generałowie. Wydaje się, że z faktem tego rodzaju mamy do czynienia w przypadku Autorów listu. Wiedza na temat „Tygodnika Wojennego” zaprezentowana przez nich, a także interpretacja motywów i faktów dotycząca nie tylko „Tygodnika”, ale też szczególnie jednego z nas, poraża głębią. Kiedyś Jacek Kleyff śpiewał o znawcach „od nawozów i od świata”. Z pewnością Autorzy polemiki na miano takich znawców zasługują. Zatem z całym przekonaniem możemy zaapelować, aby wszelkie pytania dotyczące funkcjonowania „Tygodnika Wojennego”, jego powstania, struktury, filii warszawskich i zamiejscowych, systemu kolportażu, gromadzenia tekstów, techniki (choćby tego, skąd braliśmy chemikalia do produkcji emulsji światłoczułej), kontaktów na Region, inne regiony, Radio „S”, MKK, MRK, „S” (tu ciekawa będzie odpowiedź na pytanie, skąd się wzięły kontakty „Tygodnika” z Miastowskim), kontaktów zagranicznych (np. skąd się wzięli nasi zagraniczni przedstawiciele?, czy i z kim z przywódców państw i partii zachodnich „Tygodnik” utrzymywał listowne kontakty?), roli poszczególnych osób, tworzących tzw. redakcje zastępcze, zdobywania papieru, przygotowywania diapozytywów (bo wspomniany „Jakob” był tylko epizodem, pośród wielu innych godnych zaufania osób), tak prozaicznej czynności jak przepisywanie tekstów (zgadnijcie, kto to robił i na czyjej prywatnej maszynie?) i wielu, wielu innych, jak choćby, kim był Guma, Mały, Duży, Michał, Olgierd, Włodek, Puchaty, Siwy, Mary, Korespondenci, czy jak powstawała słynna rubryka „Przeczytane w windzie” — kierować do nich. Nie wiemy, czy będzie prawdziwie, ale z pewnością ciekawie.

Byli redaktorzy „Tygodnika”
(a może tak nam się tylko wydawało):

Waldemar Baraniewski
Włodzimierz Cichomski (Guma)
Jan Strękowski